

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynné od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Dwa pokolenia.

Żyjemy w czasach, kiedy wielu, bardzo wielu ludzi uważa za rzecz nietylko naturalną, ale prawie konieczną czy całkiem konieczną lekceważenie idealizmu. Lekceważenie to przybiera postać zarówno nietylko jego ignorowania, lecz i wyszydzania a nawet oczerniania i potępienia. Według twierdzenia licznych przedstawicieli starszego pokolenia przeciwstawia się idealizmowi większość młodego pokolenia, bezwzględnie zmaterjalizowana, przyziemna. Z drugiej strony i od wielu młodych dają się słyszeć pełne gorczy i smutku utyskiwania pod adresem rówieśników.

Młodzi zatem, nadzieja społeczeństwa, nadzieja przyszłości — pod pręgierzem?

Wiadomo, że różne przyczyny składały się na szczególne zmaterjalizowanie życia współczesnego, z których najważniejszą była wielka wojna, a obok niej zaostrzona walka o byt i ruchy społeczne, oparte na zdecydowanie materjalistycznej ideologii.

Trudno żądać od człowieka, wyznającego światopogląd materjalistyczny, by nie był materjalistą. Dążąc do dobra wyłącznie ziemskiego i sprowadzając funkcje duszy tylko do funkcji mózgu i nerwów, jest on na swój sposób logiczny i konsekwentny. W zależności od typu, środowiska i warunków — formy jego materjalizmu bywają mniej lub bardziej jaskrawe. Ale co myśleć o zmaterjalizowaniu ludzi, przeciwstawiających się koncepcji materjalistycznej, wierzących w istnienie świata nadprzyrodzonego?

Jest ich wszak bez liku. Cóż mogą odpowiedzieć, jak samych siebie wytłomaczyć? Czyżby cały ich spirytualizm był jedynie nieporozumieniem albo w najgorszym razie poprostu kłamstwem i fałszem? Rażący kontrast między słowami i formami z jednej strony a ustosunkowaniem się do życia i czynami z drugiej jest zbyt wymowny.

Czy tylko młodzież w swej masie może być oskarżona o materjalizm? Czy nie podlega temu

oskarżeniu i większość starszych? Jest prawdą, co twierdzą starsi, że dawniejsza młodzież była usposobiona naogół idealistycznie, mając i inne prócz walki o byt, o stanowisko i o użycie, ideały, potrafiąc często być w wielu rzeczach „irracjonalną”, chcąc i umiając być ofiarną i płacąc nieraz za to zwinięciem kariery, niedostatkami, a nawet więzieniem i zesłaniem. Ale wówczas warunki kształtowały się szczególnie i atmosfera była zgoła inna, — wówczas, gdyby tego nie było, społeczeństwo przestałoby istnieć moralnie, jak nie istniało politycznie. Zapewne, chcący znajdują zawsze dość, acz zmienionych warunków, wołających o potrzebę ludzkiego i patriotycznego uspołecznienia. Bat niewoli, jednak był specjalnym samozachowawczym bodźcem, który pobudzał i gnuśnych. Dziś gnuśnym wystarcza fakt odzyskania wolności, a reszta nic ich nie obchodzi.

Młodzi naogół była odmienna, ale tej młodzieży już niema. Nie wszyscy, którzy do tej młodzieży należeli, utrzymali swój pęd górny i chmurny — wielu, niezmiernie wielu zrezygnowało z niego i, zajęci osobistymi sprawami i kłopotami, położyło krzyż na swej młodości, zaniechawszy jakiegokolwiek „farysowstwa”, choć młodym w tem znaczeniu i niekoniecznie duchowo dojrzałym można przy chęci i woli być do końca życia. Ci, co odeszli od takiej swojej młodości lub którzy nigdy takiej młodości nie mieli, stracili prawo, ewentualnie nie mają prawa, wytykania obecnej młodzieży jej zmaterjalizowania i oburzania się na nią. A prawie wszyscy oni należą rzekomo do antymaterjalistów.

Gdy lepsi z obecnej młodzieży ubolewają nad nieszczęśliwym lub niskim moralnym i uczuciowym poziomem swych rówieśników, dają świadomie lub nieświadomie wyraz palącej potrzebie innego stanu rzeczy, w którym nowy typ człowieka ma wzniosłym trudzie nadać rzetelną wartość życiu zbiorowemu. Ale ci lepsi nie mogą być odosobnieni. Przeważająca masa starszego pokolenia, tak potępiająca młodzież współczesną musi czynem zacząć zdobywanie prawa do tej krytyki. A przeważająca masa mło-

dego pokolenia, odwracając się od idealizmu, mówi jednak: — ci nasi oskarżyciele z większości starszego pokolenia jakim-że to nam świecą przykładem i na zasadzie czego żądają od nas idealizmu?

Lecz idealizm jest nie tylko wielkim słowem i pojęciem, ale i wielką dźwignią rzeczywistego życia, wielkim, niezgłębionym źródłem życia, godnego człowieka. Co mógł, co może i co będzie mógł przeciwstawić mu materializm? Krótki ma on oddech, a jego rzekome triumfy są jedynie konwulsyjnymi paroksyzmami.

Słoneczne wcielenie najwyższego dobra, Chrystus, błogosławi idealizmowi. On był najwyższą miarą idealizmu. Jego każdorazowe Zmartwychwstanie — to zmartwychwstanie idealizmu. Cóż można rzec więcej, gdy się protestuje przeciw materializmowi?

Jeden z młodych.

Monstrualny projekt.

Nie zdaje się, aby obecnie aktualną była sprawa zmiany podziału administracyjnego państwa polskiego. Istnieje podkomisja przy komisji dla usprawnienia administracji, zajmująca się tą kwestją. Podkomisja ta, chociaż już dość długo pracuje, nie ustaliła jeszcze żadnych wytycznych, zgromadziła jednakże obfity materiał, o którym się dowiadujemy z artykułu p. P. Dunin-Borkowskiego w Nr. 3 „Drogi”.

Niektóre z projektów (Wł. Studnickiego i maj. Starzyńskiego), złożonych owej podkomisji były nawet w swoim czasie omawiane w prasie, ale nie wywołały większego zainteresowania. Szeroka opinja, z natury rzeczy, traktuje kwestje tego rodzaju obojętnie, czynniki zaś polityczne, zaabsorbowane walką pomiędzy sanacją a opozycją sejmową nie zwracają żadnej uwagi na zagadnienia, nie związane bezpośrednio z tą walką.

W rezultacie więc podkomisja pracuje w zupełnym odosobnieniu, dyskutuje nad projektami reformy podziału administracyjnego w ciasnym kole swych członków i nie jest wykluczone, że pewnego pięknego poranka przedłoży rządowi swój własny gotowy projekt, który wszystkich zaskoczy i oszołomi. Dzięki bowiem relacji p. Dunin-Borkowskiego dowiadujemy się o takich pomysłach rozmaitych reformatorów, wobec których nie pozostaje nic innego, jak tylko szeroko rozłożyć ręce i wybałuszyć oczy ze zdumienia.

Jakie to są projekty?

Znany w ogólnych zarysach projekt p. Studnickiego przewiduje podział państwa na prowincje i zmierza przedewszystkiem do majoryzacji mniejszości narodowych przez żywioł polski. Nie liczy się on zupełnie z układem historycznym i tworzy całkiem nowe ciała terytorjalne, nie posiadające żadnej wspólnej tradycji, ani wspólnych dążeń płynących z obecnego stanu gospodarczego.

Znany również do pewnego stopnia projekt majora Starzyńskiego nie wiele się różni od projektu p. Studnickiego. Tak samo dzieli państwo na duże prowincje i małe województwa i tak samo odznacza się zupełną dowolnością w wykreślaniu granic między prowincjami.

Oba te projekty nie są, zdaje się, na szczęście traktowane poważnie i nie stanowią realnego niebezpieczeństwa.

Cały szereg projektów o charakterze wybitnie biurokratycznym nie wprowadza bardziej zasadniczych zmian w dotychczasowym podziale administracyjnym i ogranicza się do drobnych względnie przesunięć granic województw, reorganizując jedynie głębiej układ jednostek terytorjalno-etnicznych na obszarze Wołynia i Galicji Wschodniej.

Wyróżnia się swą śmiałością projekt p. K. Srokowskiego, który się opiera na idei autonomji narodowej. Wprowadza on na wschodzie Rzeczypospolitej kataster narodowy. Każdy naród obradowałby osobno nad swymi sprawami narodowymi, do których autor zalicza przedewszystkiem sprawy szkolnictwa i kultury. Każdy z narodów posiadających autono-

V. KRĖVĖ.

ŚLEDZIE.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

I.

Była połowa wielkiego postu. Zima miała się ku końcowi. Dni były ciepłe, słoneczne; śnieg topniał, pagórki wszędzie czerniały; rowkami, bruzdami, środkiem drogi biegły strumyki i szumiąc opowiadały baśń wiosenną, zwiastowały, że wiosna już blisko...

— Kobiетки, czy nie macie sierści, kur, jaje? — pukając palcem w okno pytał pewnego takiego dnia Kuszlus.

Był to stary żyd o długiej, rudej brodzie zarastającej mu twarz aż po oczy. Głowa była zupełnie siwa, broda tylko w połowie, i ta półsiwizna nie ukrywała i nie psuła naturalnego koloru jego włosów. Kuszlus miał bardzo słaby wzrok i nigdy nie widział, co leży pod nogami, dlatego idąc macał przed sobą

kijem, jak niewidomy; zwłaszcza ostrożnie kroczył, gdy jeszcze i jajka mu nieść wypadało.

— Czemu ty sobie okularów nie kupisz? — pytali go nieraz ludzie.

— Okularów? A skąd ja wezmę pieniędzy na okulary? — zapytywał i ciężko wzdychał.

Najbardziej cierpiał od wiejskich chłopaków. Lubili oni podłożyć mu pod nogi polano, czy coś innego w tym rodzaju, w tej myśli, że Kuszlus się potknie. Toż byłoby śmiechu! Lecz Kuszlus dobrze znał ich chętki i bywał szczególnie ostrożnym, gdy widział bawiące się dzieci lub wyrostków.

— Czemu wy krzywdę robicie staremu człowiekowi? — mawiał z wyrzutem, spychając kijem z drogi polano lub kamień: — czy to byłoby dobrze, gdybym upadł i zabił się?

Lecz w gniew nigdy nie wpadał; może jego serce już przyzwyczało się do wszelakiego pośmiewiska.

Zimą i latem jednakowo odziany, szedł przez wieś, niosąc w ręku koszyk, na plecach kramik i nie opuszczał ani jednego podwórka.

Teraz stał przy oknie Gierdwilisa i, przyłożywszy ucho do szyby, nasłuchiwał, co mu odpowiedzą kobiety.

mję byłby bezwzględnie decydującym w sprawach objętych tą autonomją, a żaden nie byłby uprzywilejowany specjalnie w reprezentacji prowincjonalnej. Poza tem istniałby sejm ogólnopolski, coś w rodzaju delegacji austro-węgierskiej, który byłby wybierany zapomocą specjalnej organizacji wyborczej.

Pod względem samego podziału na prowincje nie liczy się on zupełnie z tendencjami w kierunku majoryzacji narodowej, ponieważ ją wyklucza wyodrębniając sprawy narodowe w obrębie specjalnej autonomji. Dzieli on państwo na 5 jednostek administracyjnych i na dwa miasta wydzielone: Warszawę i Łódź.

Prowincja północno-wschodnia obejmowałaby całość ziem litewsko-białoruskich, będących w posiadaniu Polski, prowincja zaś południowo-wschodnia składałaby się z Galicji Wschodniej, Wołynia i częściowo Polesia.

Nie można odmówić planowi p. Srokowskiego zalet trafnego rozwiązania podziału administracyjnego, a przedewszystkiem podnieść należy szerokie uwzględnienie przezeń tradycji historycznej i wspólności etnicznej, co inne projekty rozmyślnie pomijają. Jedynie pomysł autonomji narodowej w naszych warunkach jest niefortunny, gdyż stwarzałaby ona mur chiński między narodowościami jednego kraju, a wobec słabego uświadomienia narodowego wśród ludności „tutejszej” niewątpliwie napotkałaby przy realizacji na liczne trudności i nieporozumienia.

Najfatalniejszy jednakże jest projekt samego autora. P. Dunin-Borkowski bowiem nie ogranicza się do zreferowania istniejących już projektów reformy, ale występuje również z własnym, szeroko go motywując.

P. Dunin-Borkowski wychodzi z dwóch następujących założeń, które uważa za bezwzględnie słuszne: 1) bez zmiany obecnych granic województw nie można wprowadzić ich autonomji z obawy przed utworzeniem się w całym szeregu województw reprezentacji, złożonej z żywiołów, usposobionych separatystycznie oraz 2) samorząd na wschodzie i południu Rzeczypospolitej nie istnieje, ale stan ten jest szkodliwy i nie da się długo utrzymać.

Założenia powyższe określają zupełnie wyraźnie stanowisko p. Dunin-Borkowskiego. Występuje ono też jaskrawo w jego projekcie, który jest dziwaczną mieszaniną pewnego liberalizmu w zakresie samorządowym, zupełnej dowolności w traktowaniu czynnika historycznego i jawnie wyznawanej zasady nacjonalizmu polskiego.

P. Dunin-Borkowski projektuje podział państwa na pięć prowincyj, rzekomo historycznych: Wielkopolską, Małopolską, Mazowsze, Ruś Czerwoną, Wileńszczyznę i okręg administracyjny Wołyński.

Z pozoru wygląda ten podział wcale zachęcająco, ale osłupienie następuje po zapoznaniu się z treścią, ukrywającą się pod tak pięknie brzmiącymi „historycznymi” nazwami.

Pomijamy inne prowincje, mniej nas obchodzące, zobaczymy, jak będzie wyglądała w projekcie p. Dunin-Borkowskiego prowincja wileńska. Poza obecnym województwem wileńskim, które oczywiście weszłoby do nowej prowincji w całości, przewidziane jest przyłączenie doń z woj. białostockiego powiatów grodzieńskiego, sokólskiego, augustowskiego i suwalskiego oraz z woj. nowogródzkiego pow. lidzkiego, szczuczyńskiego i wołożyńskiego. Zdaniem projektodawcy prowincja ta obejmowałaby *historycznie* znajdujące się w posiadaniu Polski obszary dawnych województw wileńskiego i trockiego, a więc właściwą Litwę...

A co ma się stać z resztą ziem białoruskich: pow. wołkowyskim, bielskim i białostockim z woj. białostockiego, większością woj. nowogródzkiego i znaczną częścią Polesia (niektóre powiaty tegoż odeszłyby do Wołynia)? Tu oczekuje nas największa niespodzianka. P. Dunin Borkowski wyznacza im miejsce w — prowincji mazowieckiej... Dlaczego? Dlatego poprostu, że jego zdaniem do Mazowsza „powinno należeć nasze jedyne terytorjum kolonizacyjne, jakim jest woj. poleskie z jego moczarami, gdzie Polskę czeka wielka misja osuszenia i zakulturowania, wymagająca wysiłków ze strony bogatej i przemysłowej prowincji”.

Oto w jaki dowcipny sposób biurokrata galijski rozstrzygnął spór pomiędzy zwolennikami roz-

— Jest wątroba knura, — zadrwił z niego pastuch, który, siedząc na ławce przy oknie, robił siła na ptaki. Lecz Kuzłus, przyzwyczajony już do podobnych żartów, nie zwracał uwagi na jego słowa; poczekawszy chwileczkę i nie doczekawszy się odpowiedzi, znów zapukał palcami w okno.

— Czy nie trzeba mydła, igieł, zapalek, śledzi?...

— Zajdź, zajdź, zobaczymy, — poszeptawszy z synową, która nachylona nad kołyską karmiła pierśią dziecko, zaprasza go do chaty Gierdwilisowa.

Kuzłus powlekł się przez podwórko do sieni. Pastuch skoczył do przypiecka, wyciągnął najgrubsze polano i położył przy progu.

— Odbierz polano, odbierz polano! — krzyczy nań Gierdwilisowa: — czy ty chcesz, żeby stary człowiek się zabił! Ach ty, łajdakul!

— Jaki człowiek? niechrzczeniec! — krzywi się pastuch i siada przy oknie. — Gdy służyłem w Szyłakieniu, to nietylko takie rzeczy myśmy mu robili.

Monika, córka Gierdwilisa, piętnastoletnia dziewczynka, wstała od kołowrotka i prędko podbiegłszy, bo Kuzłus już szedł przez sieni, podniosła polano i rzuciła je pod piec.

— Łobuzie jeden! jak dam w kark, to będziesz wiedział! — podchodząc do pastucha łaje go.

— Za krótkie ręce. Czy aby nie synową Kuzłusa chcesz być, że go tak bronisz? — drwi z niej pastuch.

— Co robiłeś w Szyłakieniu, to zatrzymaj dla siebie, a tu tego robić nie będziesz, — krzyczy na niego także i Gierdwilisowa: — tylko łajdacy śmieją się ze starych ludzi. Nie śmieć się — i sam starym będziesz. Jeszcze Boga obrazisz szydząc ze starych i Bóg ci nie da doczekać starości.

— Akurat Boga obrazi, że z żyda się pośmieje, — rzekła powątpiewająco Marcela, która służyła jako najemnica: — oni przecież naszego Pana Jezusa zamęczyli.

Tymczasem ciężko stękając, z trudem przelał przez próg Kuzłus. Widocznie był bardzo zmęczony.

— Pochwalony Pan Bóg! — rzekł nie zdejmując czapki.

— Na wieki! — odpowiedziała tylko Gierdwilisowa.

Kuzłus podszedł do okna, zdjął z pleców toboł, w którym były złożone jego towary, postawił go na ławie, koszyk z jajkami pod ławką, uprzednio pomacawszy kijem, czy czego tam niema. Ceberek

szerzenia woj. wileńskiego kosztem woj. nowogródzkiego a obrońcami utrzymania tego ostatniego w obecnym stanie, spór, który dotąd jeszcze nie przebrzmiał, mimo, że prasa przeszła nad nim do porządku dziennego!

Oto jakie pomysły legną się w głowach reformatorów warszawsko-galicyjskich, o których ogół zazwyczaj nic nie wie i o których tylko przypadkowo się dowiaduje.

Zaiste trzeba mieć zawsze w pamięci mądrą maksymę talmudyczną: nie požądaj zmiany przelozonego, bowiem nowy będzie gorszy od dawnego. Wszyscy odczuwamy dotkliwie braki i dolegliwości obecnego sztucznego podziału administracyjnego naszego kraju. Ale gdy sobie uprzytomnimy, czem nam grozi reforma w tej dziedzinie, włosy powstają na głowie i ogarnia przerażenie. Niech już lepiej nie będzie żadnych zmian.

Simplex.

Wojująca spółdzielczość.

W wielu krajach kooperacja odegrała wybitną rolę, nie tylko jako potężny regulator życia ekonomicznego i postępu, lecz również stawała się nieraz czynnikiem twórczym w odrodzeniowych ruchach narodów, jak np. w Irlandji i Finlandji. Świeżo to samo obserwujemy w społeczeństwie ukraińskim, gdzie kooperacja odegrała tak doniosłą rolę w formowaniu się życia tego narodu. Sztandary kooperacji powiewają zwykle tam, gdzie objawia się żywiołowy ruch mas, które znajdują w niej szlachetne formy walki, przy zdobywaniu nurtujących w nich ideałów.

Odmienne układały się stosunki w naszym kraju. Kooperacja, która zatknęła na naszych ziemiach swoje sztandary, ma inne oblicze. Nie powstała ona u nas, jako twórczy, świadomy prąd „od dołu”, jako rezultat świadomej twórczości mas — lecz zjawia się tu jako produkt importowany, narzucony masom tym zewnątrz, bez świadomego ich współdziałania. Jako twór do pewnego stopnia sztucz-

ny, nie przedstawia ona siły ruchu żywiołowego. Formy jej zainstalowania się u nas, pewien ekskluzywizm narodowy, jak również bardzo wyraźna protekcja urzędowa — nadają tej kooperacji pewien smak, który można określić niemieckim — „Drang nach Osten”.

Świadomie, czy nieświadomie — kooperatyzm polski stał się w naszym kraju czynnikiem wybitnie politycznym. Nie dlatego aby zajmował się polityką bezpośrednio, lecz dlatego, że staje się środkiem bojowym pewnych grup i ludzi dla osiągnięcia ich celów politycznych.

Kooperatyści polscy powinni wszak byli zdawać sobie sprawę z tego, że wchodząc ze swemi organizacjami na teren zamieszkały przeważnie przez ludność białoruską i litewską, która ma swoje rozwojowe tendencje i własne kulturalne potrzeby — siłą rzeczy stawali się czynnikiem, nie tylko ekonomicznym, lecz i politycznym. Kooperatyzm polski powinien był zdawać sprawę z tego, że organizując pod swoimi własnymi sztandarami lud białoruski i litewski bierze na siebie wielką odpowiedzialność, gdyż pomniejsza, względnie paraliżuje samodzielne twórcze tendencje i możliwości tych ludów. Być może w inny sposób układałyby się stosunki narodowościowe u nas, gdyby odrodzeniowy ruch białoruski znalazł ujście dla swej kulturalnej, pozytywnej pracy w formach organizacji spółdzielczych. Kooperatyzm polski, jako ruch starszy, już zorganizowany, mógł być — w myśl solidarności braterskiej — odegrać bardziej szlachetną i właściwą rolę. Kooperatyzm polski poszedł jednak inną drogą — być może bardziej dla siebie dogodną. Lecz czy zgodnie ze szczytnymi hasłami kooperacji?

Gdy w parę lat po wojnie zaczęły się ustalać u nas formy życia państwowego — ujawniła się silna ekspansja kooperatywu polskiego na nasze ziemie. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, którą należy podkreślić, że kooperatyzm polski wszedł na teren tutejszy drogą dla siebie bardzo uproszczoną. Prosto rozmaite warszawskie związki spółdzielcze pootwieraly u nas swoje „oddziały” — swego rodzaju faktorje — i, korzystając z przemożnego po-

ze śledziami postawił na ławce i zdjął szmatę, którą śledzie były przykryte.

— Nu, chodźcie po śledzie! — zapraszał kobiety i począł wybierać z wierzchu ceberka co najmniejsze śledzie. — Ile chcecie? dwa? trzy?

Gierdwilisowa zlała z przypiecka, poprawiła spódnice i, zbliżywszy się do ławki, poczęła wybierać z ceberka śledzie i, jak się jej zdawało, wybrała sobie najlepsze.

— Uj, ty najlepsze śledzie wybrałaś. A kto kupi gorsze? — burczy Kuszlus.

— Nic, wezmą ludzie i gorsze, gdy nie będzie lepszych.

Gierdwilisowa wybrała sobie pięć śledzi i odłożyła je na ławkę.

— Ile jajek chcesz za nie? — spytała Kuszlusa. Kuszlus wziął je do ręki, pohaustał, pomacał.

— Ile jajek? jajka teraz są bardzo tanie, a śledzie wybrałaś ogromne. Ot patrz, tłuste, jak kury, — podsunął, śledzie Gierdwilisowej.

— Ty mnie śledzi do oczu nie suń. Ja nie ślepa, widzę. Śledzie, jak wiórki.

— Dobrze wiórki! Żebym ja lepszych w swoim życiu nie jadł. Dasz mnie ćwierć kopy. Dobrze?

— Co ćwierć kopy? Nie doczekasz, niechrzczeńce, żebym ja tobie za te wiórki tyle dała. Masz swoje śledzie, trzymaj je sobie.

Wziąwszy z ławki śledzie, Gierdwilisowa wrzuciła je do ceberka i, odwróciwszy się, zmierzała z powrotem do przypiecka, koło którego stał kołowrotek.

— Ny, ile dasz! mów, ile dasz! — krzyczy Kuszlus i te same śledzie wyciąga z ceberka znów na ławkę.

Gierdwilisowa wyciera sobie fartuchem ręce, siada i bierze się do przedzenia.

— Osiem chesz, — zaproponowała Kuszlusowi: — to wezmę.

— Osiem jajek za takich pięć śledzi! — dziwuje się Kuszlus. — Żeby moje wrogi tyle mieli, jak one mnie samego drożej kosztują. Czternaście dasz?

— Nie dam. Dziewięć chesz, bierz, więcej nie dostaniesz ani jednego. Gierdwilisowa puszcza w ruch kołowrotek, nie patrząc na kramarza i śledzie.

— Trzyście dasz? — pyta Kuszlus: — taniej nie mogę. Żebym ja tak zdrow był, nie mogel!

— Dziesięć, ostatnie słowo. Ani jednego jajka nie dolożę.

— Żeby chociaż dobre śledzie były, — poparła

parcia sfer oficjalnych, posiadając znaczne środki finansowe i techniczne, zaczęły — drogą „od góry” — organizować różnego typu kooperatywy, podług własnego, ustalonego gdzie indziej, szablonu.

Ambicje kierowników tych oddziałów, piastujących swoje posady z ramienia central warszawskich — ludzi przeważnie nie miejscowych — jak również silne poparcie ze strony administracji państwowej, która widziała w rozbudowie kooperacji tego rodzaju, sprzyjający dla siebie czynnik polityczny, przy silnym wreszcie poparciu finansowym państwowego Banku Rolniczego, który wszystkie swoje kredyty rozprowadzał przez kooperatywy — wywołały to, że akcja spółdzielcza nabrała u nas wkrótce bardzo znacznego rozpędu. Liczne kooperatywy, różnego typu wyrastały w kraju jak grzyby po deszczu. Kraj pokrył się temi „placówkami spółdzielczymi”, które rachują się dziś już na setki. Są to kooperatywy rozmaitego typu: kredytowe, mleczarskie, rolniczo-handlowe, spożywcze, budowlane, Iniarskie i t. p. Najliczniejsze są kredytowe, znane pod nazwą „Kasy Stefczyka” i banków ludowych, następnie mleczarskie.

Szybkość powstawania i znaczna ilość tych kooperatyw mogłyby wskazywać na to, że wieś nasza ogarnięta została żywiołowym ruchem, przeobrażającym jej gospodarcze podstawy i, że zmierza do postępu ekonomicznego. Bliższe wejrzenie w tę całą akcję pouczy nas, że tak jednak nie jest, że cała ta akcja, nie pozbawiona zapewne znacznych walorów gospodarczych, ma w sobie dużo sztuczności, a wewnętrznie nie jest zdrową i mocną.

Trzeba wiedzieć, że kooperacja, organizująca się tu w ramach warszawskich oddziałów — więc scentralizowana w Warszawie — występuje u nas w trzech odmianach. Działają na naszym terenie trzy odrębne związki spółdzielcze, a mianowicie: Związek Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Pol. w Warszawie (Oddział w Wilnie), Związek Polskich Spółdzielni Rolniczych w Warszawie (Oddział w Wilnie) i Związek Spółdzielni Polskich „Unja” (Oddział Wileński). Związki te posiadają odrębne typy organizacji podstawowych, odrębne statuty i t. p.

Najbardziej silnie występuje na terenie naszego

kraju Związek Spółdzielni Rolniczych w Warszawie jako Oddział Wileński. Tak zwany Okręg Wileński tego Związku działa na terenie woj. wileńskiego, nowogródzkiego i 2 ch pow. woj. białostockiego. Związek ten (Oddział Wileński) posiada 365 oddzielnych kooperatyw (członków), z których najliczniej są reprezentowane Kasy Stefczyka (233) i mleczarnie (107). Równorzędną działalność na tymże terenie prowadzi Związek Spółdz. Polskich („Unja”). Ogólna liczba kooperatyw, należących do Oddziału Wileńskiego tego Związku, sięga 97.

Mniejszą ilość kooperatyw posiada Związek Spółdzielni Spożywców, który jednak działalność swoją prowadzi prawie wyłącznie na wsi, równorzędnie z wymienionymi wyżej związkami i posiada oddział składów hurtowych w Wilnie.

Trzy te odłamy spółdzielcze, działając na terenie naszego kraju, nie tylko nie kojarzą w jakiś planowy sposób swej działalności, lecz odwrotnie — prowadzą tu raczej działalność konkurencyjną, która wylewa się nieraz w formę zaostrożonej walki.

Czytelnicy codziennych gazet wileńskich mogli w ostatnich czasach zaobserwować pewne objawy, które wskazują na to, że nie wszystko ładnie i składnie układa się w świecie tej kooperacji. Na łamach „Dziennika Wileńskiego”, „Słowa” i „Kurjera Wileńskiego” pojawiają się artykuły, listy, oświadczenia, z których widać, że w światku kooperacji tutejszej wre jakaś walka. Napróżno źródeł jej szukalibyśmy u nas, na miejscu, gdyż nie wynika ona całkiem ze stosunków panujących „na dołach” spółdzielczych. Walka ta została tu przeniesiona sztucznie z central warszawskich. Miejscowa ludność nie tylko nie jest w niej bezpośrednio zainteresowaną, lecz w większości swej nie orientuje się nawet o co chodzi. Nie tylko „prosty ludek”, lecz i poniektóry inteligent nie może w tem połapać się. Walka ta została przeniesiona z centralnej Polski. Walczą tu nie doły spółdzielcze, lecz sfery kierownicze związków, którym chodzi o zasięg własnych wpływów, o zdobycie terenów.

Konkurencyjna walka toczy się właściwie między dwoma blokami spółdzielczymi; między Związkiem

ją synowa. Nakarmiwszy dziecko, zawięła je w pieluchy i, idąc prząść, pomacała leżące na ławce śledzie: — Małe, drobne, jak robaczki.

— Żebym ja tak zdrow był, jak mnie samego drożej kosztują.

Kuszlus zgarnął śledzie do ceberka, zarzucił swój workowy kramik na plecy, do przerzuconego przez ramię końca worka przyczepił koszyk i ciężko wdychając idzie ku drzwiom.

— Dwanaście dasz? — pyta przystanąwszy we drzwiach.

— Dziesięć, powiedziałam. Więcej nie dam i nie targuj się napróżno. Ja nie małe dziecko.

— Nie mogę, nijak nie mogę.

— Nie możesz, nie sprzedawaj, — rzuciła synowa.

Wyszedłszy na podwórko, Kuszlus podszedł do okna i jeszcze raz próbuje.

— Kobietko, jedenaście dasz?

— Jeszcze w oczy leziesz. Powiedziałam dziesięć.

Kuszlus chwilę stoi na miejscu i myśli, czy iść dalej, czy wrócić. Jak tu nie wrócić, jeżeli bądź co bądź można zarobić: sześć, osiem groszy, a może nawet i całą dziesiątkę.

Kuszlus wraca do chaty, kładzie na tem samym miejscu swoje towary i wyciąga z ceberka śledzie.

— Nu, nieś jajka i bierz sobie śledzie, — mówi on, kładąc je na ławce.

Gierdwilisowa wstała od kołowrotka i zdjęła z półki misę na śledzie.

— Jakie ty mnie teraz śledzie dajesz? Czy ty myślisz, że ja głupia brać takie śledzie! — oburza się Gierdwilisowa, przerzucając położone na ławce śledzie: — widzicie go, wybrał co najgorsze.

— Za dziesiątkę jajek chcesz dobrych, — mruczy Kuszlus i zamienia dwa śledzie na lepsze. — Nu masz lepsze. Bierz śledzie i nieś jajka.

Gierdwilisowa siada przy kołowrotku i nawet nie raczy obejrzeć się na śledzie.

— Nie trzeba mnie takich. Nie dajesz dobrych, trzymaj sobie wszystkie.

Żyd znowu wybiera z ceberka śledzie. Przebieira, obmacuje, wacha i jeszcze dwa zamienił.

— Czy bierzesz, kobietko? Mnie pilno, czemu czas darmo tracisz? — krzyczy żyd z gniewem. — Ny, bierz, jakie sobie wybrałaś.

Gierdwilisowa widzi, że już istotnie zamienił wszystkie na lepsze.

Spółdzielni Rolniczych i Związkiem Spółdzielni Polskich. Związek Spożywców stoi tu poniekąd na uboczu. Nie możemy tu szerzej rozważać istoty sporu, która zresztą dla naszych stosunków nie ma istotnego znaczenia — zainteresować nas tu raczej mogą pewne polityczne momenty tej walki. Chodzi o to, że dwa wymienione wyżej związki mają zasadniczo odrębne ideologie społeczne i ulegają wręcz sprzecznym wpływom politycznym.

Związek Sp. Rolniczych ma charakter — przynajmniej do niedawna tak było — radykalno chłopski i ulegał poniekąd wpływom stronnictw ludowych. Obecnie stosunki nieco się zmieniły i raczej można by powiedzieć, że panują tam wpływy sanacyjno-naprawiackie (tak nieraz mówi się!). W każdym razie na naszym terenie Związek Spółdzielni Rolniczych w zupełności ulega wpływom tak zw. naprawiaczy, a osadnicy wojskowi odegrywają tu rolę dominującą.

Związek Spółdzielni Polskich natomiast jest rzecznikiem ideologii drobnomieszczańsko-chłopskiej, o wyraźnych tendencjach katolicko-narodowych. U nas, przynajmniej ostatnio, występuje wyraźnie pod sztandarami endecji, o czym można sądzić chociażby z tego, że organem jego wynurzeń stał się „Dziennik Wileński”.

Na morzu naszej rzeczywistości ta „burzliwa” walka przedstawia obraz dosyć zabawny, lecz zarazem smutny, który przypominać nam musi o naszej bezradności i upośledzeniu. Jak powiedzieliśmy ludek tutejszy nie jest nie tylko zaangażowany w tej walce, lecz nie ma wprost żadnego dla tej walki zainteresowania. Obojętnym wszak jest dla niego, w gruncie rzeczy, czy zbieg okoliczności pchnął go do kooperatywy tego lub innego walczącego Związku. Obojętnym dla niego jest, czy tam u góry rządzi naprawiacze, czy endecy, gdyż wpływy jego i tak są żadne, bowiem konstrukcja tych związków, filij warszawskich central, nie dopuszcza go do żadnego głosu i znaczenia. Niema też wielkiego znaczenia, czy szuka popularności w spółdzielniach kandydat na posła z B. B. czy też endecji. Lecz oburzać mu-

si do żywego ten fakt, że tysiączne rzesze nieświadomych wieśniaków, którzy z dobrą wiarą garną się pod sztandary kooperacji — wciąga się bez skrpułów w jakąś konkurencyjną walkę, która ma wyraźny posmak polityczny.

I tu najlepiej uwidoczniają się te niezdrowe stosunki, które panują w kooperacji tu u nas szerzonej, za które ludność nasza nie może brać odpowiedzialności i ponosić skutków. Wszak chodzi tu o materialne dobro tej ludności, a nie o zdobywanie „dusz” dla tego lub innego prądu, który i tak zawsze tu będzie prądem sztucznym, gdyż nie wypływa z istotnych zainteresowań tutejszych mas ludowych.

Teraz już wyraźnie można powiedzieć, że centralistycznie rozbudowany kooperatyzm polski, który z takim pośpiechem „okupował” ziemie nasze — zgrał się tu moralnie. Czas najwyższy, aby w imię dobra idei kooperatywu przystąpić do radykalnej przebudowy kooperacji w naszym kraju. Centralistyczna, oddziałowa organizacja powinna być zmieniona. Dorobek tej kooperacji, w której udział już pośredni biorą setki tysięcy miejscowych rolników i na plecach których został rozbudowany, nie powinien być narażony dalej na perypetje walk, nic tutejszy teren nie obchodzących. Setki kooperatyw stanowią już dostateczny fundament dla tego, aby powstać mógł na naszych ziemiach samodzielny związek, niezależny od warszawskich central. Wówczas przyjdą do głosu masy kooperatystów miejscowych, których zdrowy instynkt gospodarczy usunie wszystkie niepotrzebne naleciałości, a kooperacji nada zdrowe, realne podstawy dla dalszego, pomyślnego jej rozwoju. W akcji tego rodzaju powinni być zainteresowani wszyscy ci ludzie, bez różnicy swoich poglądów społecznych i politycznych, którzy nie szukają w kooperacji wygodnej odskoczni dla celów osobistych, lub partyjnych, a dla których sztandar kooperacji jest drogi dla samej idei.

Kooperatysta.

— Marcela, weź od niego śledzie, — rozkazuje najemnicy, a sama wstaje i wychodzi z miską do sieni, gdzie w szafce leżą jajka.

Marcelka nie wstając od kołowrotka, sięga z kąta po denko, którym zakrywano garnki z zupą, aby do niej muchy nie wpaadały, i składa na nie śledzie.

Gdy Gierdwilisowa przyniosła jajka, Kuszlus obejrzał uważnie wszystkie. Na każde popatrzał, każde potrząsł, i do ucha przyłożył.

— Jakich ty mnie jajek dałaś? — gani teraz Kuszlus. — Kto widział takie jajka? Mnie nikt za nie ani dwóch groszy nie da.

— Nie chcesz — nie bierz, w Mereczu sprzedam, — odpowiada Gierdwilisowa. — Marcela, oddaj mu śledzie.

— Ny, ny, czego tak śpieszyć, — spokojniej mówi Kuszlus i pakuje jajka do koszyka. — Ty mnie dasz jeszcze kilka kartofli pieczonych. Ja dziś jeszcze nic nie jadłem.

— Monika, daj jemu kartofli, — zwróciła się Gierdwilisowa do córki.

Ta zagarnęła obiema rękami kartofli i wysypała je na stole.

Kuszlus obrał kartofle i łączywie zabrał się do jedzenia.

Podczas gdy żyd obierał i jadł kartofle, Marcela wyciągnęła z ceberka po jednym trzy śledzie. I tak się dobrze sprawiła, że nikt nie zauważył, jak jej wyciągnęła i schowała. Tylko pastuch widział. Gdy Marcela schowała śledzie, pastuch zerknął na nią porozumiewawczo i parsknął śmiechem na całą izbę.

— Czego ty tu gardło drzesz? — dziwuje się Monika: — rozdziawił pysk nie wiedzieć czego.

— Ze starego człowieka się śmieje, że jemu ciężko — poskarżył się Kuszlus, polykając kartofel. — Nieładnie śmiać się z głodnego.

Marcela spojrzała na pastucha i również parsknęła śmiechem. Zrozumiała, że on wszystko widział, mrugnęła nań by milczał.

Kuszlus, zjadłszy kilka kartofli, resztę włożył sobie do kieszeni.

— Zaniose żonie; ona bardzo chora.

Potem Kuszlus zawiązał worek, zarzucił go na plecy i westchnął głęboko.

— Kobietko, czy nie masz kury na sprzedaż? co? kury, koguta?

Kij ma dwa końce.

Od jednego z miejscowych działaczy oświatowych litewskich, otrzymujemy następujące uwagi.

P. rz. w „Kurjerze Wileńskim” nawiązując do artykułu p. R. Mackiewicza, zamieszczonego w ostatnim numerze „Przegl. Wil.” wygłasza ryzykowny pogląd, że „polemika z prasą litewską należy do rzędu zajęć w dzisiejszych warunkach zupełnie bezpłodnych”, a to rzekomo z tego względu, że strona litewska nie wykazuje dobrej woli w operowaniu faktami i argumentami.

Jabym tę tezę odwrócił. Mojem zdaniem właśnie publicyści polscy ponoszą winę tego, że dyskusja między prasą polską a litewską utyka stale na martwym punkcie wzajemnych rekryminacji i utarczek słownych. A nie chcąc być gołosłownym postaram się udowodnić mój zarzut na podstawie chociażby wspomnianego artykułu p. rz.

P. rz. polemizuje z wywodami p. R. Mackiewicza. Przypomnijmy więc ich treść zasadniczą. P. Mackiewicz na tle rocznicy strajku szkolnego w Królestwie Polskiem odmalował w ciemnych barwach współczesny stan szkolnictwa litewskiego w Wileńszczyźnie, podnosząc z ubolewaniem, że rezultaty ciosu wymierzonego oświacie litewskiej podczas retorsyj w r. 1927 dotąd nie zostały naprawione, zarządzenia represyjne nie zostały dotąd cofnięte i że wszelkie starania społeczeństwa litewskiego w tym kierunku nie odnoszą żadnego skutku.

A p. rz. w odpowiedzi szeroko się rozwodzi nad potrzebą zrozumienia *wyjątkowości* ówczesnych zarządzeń, utrzymując, że „jeżeli się je ocenia z pewnej perspektywy, to trzeba mieć na uwadze sytuację, w której dany fakt miał miejsce i pobudki, któremi się kierowano”.

Nie bardzo sobie zdaję sprawę z tego, co to była za wyjątkowa sytuacja, ale przypuśćmy, że tak. Czyż p. Mackiewicz w swym artykule nie dostatecznie uwzględnił okoliczności łagodzące, pisząc dosłownie: „Być może wówczas sfalszowany list 28 nauczycieli Polaków z Worń i szalona kampanja anty-

litewska prasy polskiej spowodowały powyższe zarządzenia władz szkolnych”? Przecież p. Mackiewicz nie atakuje samego faktu retorsyj, ale jedynie zwraca uwagę, że od tego czasu upłynęło już dwa lata przeszło, było więc dość czasu, by z drogi *wyjątkowej* zawrócić na drogę legalną. Pocóż więc p. rz. kładzie specjalny nacisk na moment retorsyj, gdy punkt ciężkości rozważań leży w obecnej sytuacji? Czyż to jest z jego strony *fair play*, na której brak u publicystów litewskich tak wymownie narzeka?

A dalej. P. Mackiewicz ani słowem nie potrąca o stan szkolnictwa polskiego w Litwie Niepodległej. Nie wiem, jaki jego jest pogląd na tę sprawę. Może usprawiedliwia po itykę rządu litewskiego, a może ją potępia. P. rz. również o tem nic nie wie. Pocóż tedy w polemice z p. Mackiewiczem na temat braków szkolnictwa litewskiego w Wileńszczyźnie p. rz. tyle miejsca poświęca zamykaniu szkół polskich w Republice Litewskiej? Skoro p. rz. uroczyście oświadcza, iż nie jest zwolennikiem polityki odwetowej, powinien rozpatrywać każdą z tych bolączek osobno a nie łączyć je razem, gdyż inaczej nikt nie uwierzy powyższemu jego oświadczeniu.

Wreszcie kwestja statystyki szkolnej, jedyna z poruszonych w artykule p. rz., bezpośrednio się wiążąca z wywodami p. Mackiewicza. Z przytoczonych przez p. rz. danych wynika, że w dniu 1 grudnia 1929 r. było w obrębie 3 powiatów Wileńszczyzny 21 szkoła państwowa litewska, 42 państwowych szkół dwujęzycznych i 63 prywatnych T-wa „Rytas”, czyli ogółem 126 szkół; przed retorsjami z r. 1927 zaś 21 — szkoła państwowa litewska, 23 państwowych dwujęzycznych i 76 prywatnych T-wa „Rytas”, czyli ogółem 130 szkół. W rezultacie więc wypada, że ilość szkół litewskich zmniejszyła się zaledwie o 4. A gdyby p. rz. nie zapomniał jeszcze wspomnieć o dwóch szkołach T-wa „Kultura”, to różnica zredukowałaby się do 2 szkół. Czyż jest więc o co wszczynać taki gwałt i alarmy?

Dziwić się nawet można, że p. rz. nie postawił takiego zapytania.

Zapewne jednakże i p. rz. zdaje sobie dobrze sprawę, że ani szkoły państwowe litewskie ani tem

— Niema. Kto teraz będzie miał kurę na sprzedaż?

— Moja żona chora, jej trzeba kury, a kury niema — poskarżył się Kuszlus i, dźwignawszy swój cały kramik, ruszył ku drzwiom. Sapie stary, ciężko mu go nieść: ledwie nogami powłóczy, a tu musi się wlec w taki czas, po takiej drodze, mokry do kolan, zablocony. A tam w domu jego stara żona sama jedna, chora, bez opieki.

— Uj, żeby moim wrogom było tak lekko żyć, jak mnie lekko, wdycha idąc Kuszlus.

Jak tylko wyszedł za próg, pastuch i Marcela znowu wybuchnęli śmiechem na całe gardło.

— To wy, bezwstydnicy, wyrządziliście jemu jakąś psotę, — domyśliła się Gierdwielisowa.

Marcela podniosła trzymając za ogony trzy śledzie.

— To ty, łajdaczko. jemu ukradłaś? Widzicie ją jaka! — roześmiała się synowa, a Marcela i pastuch wybuchnęli jeszcze większym śmiechem.

— I tobie nie żal jego nędzy, bezwstydnico! — zakrzyzczała na nią Gierdwielisowa: — może z całego dnia zarobek mu ukradłaś. A tam jego żona może głodna leży. Chyba ty się Boga nie boisz.

— Nie weźmie go lichol — przestawszy się śmiać, tłómaczyła się Marcela. — Czy oni mało naszych ludzi oszukują?!

— To ich rzecz. Ale zobaczymy, co ci powie ksiądz, gdy do spowiedzi pójdziesz.

Marcela zamilkła bo, przypomniawszy księdza, przestraszyła się. Oprócz tego, przyszło jej na myśl, że może Kuszlus ze swą rodziną naprawdę nie ma co jeść. I przypomniwała sobie, z jaką łapczywością jadł on pieczone kartofle.

— Będzie wam wesoło, gdy na tamtym świecie wypadnie ze śledziami w zębach prosić Kuszlusa, by je od was przyjął! — pogroziła im Monika.

— Niedoczekanie twoje, abym ja żyda prosił, — odparł pastuch. — Albo to żydzi będą tam, gdzie my katolicy.

— Gdy pójdziesz do piekła, to znajdziesz tam wszelakich: i żydów i katolików i panów i prostaków.

— Chyba to nie grzech żyda oszukać, — próbowała się bronić Marcela: — oni przecież Pana Jezusa zamęczyli, ukrzyżowali.

— Och, dziewczyno! — westchnęła Gierdwielisowa: — my codziennie Jego, Pana naszego, ile męczymy, ile krzyżujemy!.. A on nam wciąż przebacza...

bardziej dwujęzyczne w żadnym razie nie mogą być uważane jako rekompensata za zamknięcie szkół T-wa „Rytas”. Z ogólnej liczby 21 szkół państwowych zaledwie w czterech język litewski uwzględniony jest należycie, w paru jeszcze wykłady litewskie odbywają się — jak mówią Rosjanie z *griechom popołam*, — w pozostałych zaś państwowych, a zwłaszcza w dwujęzycznych personel nauczycielski — według dowcipnego wyrażenia pewnego działacza oświatowego — umie po litewsku tylko dwa słowa: *sake — pasake*, a pozatem w zakresie języka litewskiego robi wrzenie głuchoniemych.

P. rz. przywiązuje wielką wagę do statystyki, ale gołe cyfry niczego nie dowodzą, jeżeli ich odpowiednio nie oświetlić. Zresztą kwestja, czy dana ilość szkół jest wystarczająca, czy za mała — ma charakter wybitnie subiektywny. Jeden może się zapatrywać na nią tak, a drugi inaczej. Skoro istniało 48 szkół, następnie zamkniętych, widocznie była ich potrzeba.

Otwarcia ich, jakoteż seminarjum nauczycielskiego domaga się społeczeństwo litewskie, i ten temat wyłącznie poruszył w swym artykule p. Mackiewicz.

P. rz. nie mając żadnych poważnych argumentów w tej materji zρέcznie zwekslował polemikę na inny zgoła tor: na zagadnienie szkolnictwa polskiego w Litwie Niepodległej.

Czyż to jest uczciwa gra?

Litwin.

Polityka odwetowa.

W związku z artykułem p. R. Mackiewicza p. t. „Przypomnienie” umieszczonym w „Przeglądzie Wil.”, ks. P. Kraujalis, prezes Towarzystwa Oświatowego „Rytas” udzielił współpracownikowi „Wiln. Rytojus” następujących wyjaśnień:

— Nietylko od 5 sierpnia 1927 szkoły litewskie w ziemi Wileńskiej znalazły się w ciężkim położeniu. Położenie szkół litewskich było ciężkie jeszcze i przed 1927 r. W ciężkim położeniu odrodzone szkoły litewskie znalazły się już w 1920 r., kiedy to sfery rządowe przestały zupełnie subsydjować szkoły litewskie, a od nauczycieli Litwinów zaczęły żądać naukowego cenzusu szkół polskich i nowych kwalifikacji dla nauczycielskiego zawodu.

To już kilkakrotnie jeszcze przed 1927 r. zmniejszyło liczbę litewskich szkół i nauczycieli w Wileńszczyźnie. Litewskie Towarzystwo Oświatowe „Rytas”, jako jedyna w owym czasie organizacja, broniła interesów szkół i nauczycielstwa litewskiego, bądź to wysyłając do Ministerstwa W. R. i O. P. w tej sprawie memorjały, bądź to wyprawiając razem z Lit. Tym. Komitetem do Warszawy specjalne delegacje. Przed 1927 r. delegacje te bywały przez samych p.p. ministrów grzecznie przyjmowane; obiecywano nawet pewne ulgi, ale ministrowie często się zmieniali, tak samo było i z wileńskimi kuratorami; w rezultacie obietnice pozostawały obietnicami. Choć położenie było trudne, jednakże na początku 1927 r. większa część szkół, jak też i nauczycieli była stabilizowana.

Na nieszczęście, w 1927 r. do Wilna przybył urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. Jędrzejewicz i w ultymatywnej formie zażądał od prezesa Tow. „Rytas” spełnienia jego żądań, które w większej części odnosiły się nie do szkół T-wa „Rytas”, ale do szkół polskich w Litwie Niepodległej. Prezes Tow. „Rytas” wyjaśnił, że Litwini wileńscy

dobrze nawet nie wiedzą w jakim położeniu znajduje się polskie szkolnictwo w Litwie Niepodległej i za to, co tam się dzieje, na siebie żadnej odpowiedzialności brać nie mogą. Pomimo to żądania, nie dotyczące w najmniejszej mierze życia naszego kraju były powtórzone i, jak to wyraźnie widać z przypisku „Przeglądu Wil.”*), zamknięcie seminarjum i szkół powszechnych, tudzież pogorszenie się położenia pracowników na niwie kulturalnej, były aktem zemsty za zezwolenie udzielone przez jedną partję rządzącą w Litwie Niepodległej na otwarcie szkół polskich i następnie cofnięcie tego pozwolenia przez drugą partję, gdy ta doszła do władzy.

Już wówczas prezes T-wa „Rytas” oznajmił p. Jędrzejewiczowi, że jego żądania pod adresem T-wa „Rytas”, by ono wpłynęło na stosunki z tamtej strony kordonu, są niewykonalne, ponieważ T-wa „Rytas” nie jest tak potężne i wpływowe i samo Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie darowałoby T-wu „Rytas”, gdyby ono utrzymywało jakiegokolwiek stosunki ze sferami rządzącymi z tamtej strony. Jednakże szkoły litewskie w 1927 r. zostały zamknięte i dotąd, jakgdyby oczekuje się od T-wa „Rytas”, aby uczyniło to, czego nie osiągnęły konferencje w Kownie i w Królewcu. Dzieci naszych rolników już trzeci rok pozostają bez dobrych szkół, a młodzież bez Seminarjum Nauczycielskiego.

Litera docet, litera nocet.

Jest zjawiskiem pospolitem, że badacz dawnych dziejów wskutek niedokładnego odcyfrowania starych dokumentów i rękopisów lub też dzięki niebaldstwu przepisywacza, sporządzającego dlań odpis danego aktu, wysnuwa mylne wnioski a nieraz nawet tworzy całe hipotezy, które się utrzymują przez czas długi w nauce, nim bardziej sumienny i krytyczny historyk, sięgnąwszy do źródła nie sprostuje błędu poprzednika. Wypadki umyślnych fałszerstw — pomijamy.

Nader charakterystycznym przykładem takiego nieporozumienia jest ustęp w pracy ks. dr. Jana Fijałka p. t. „Uchrześcijanienie Litwy przez Polskę” („Polska i Litwa w dziejowym stosunku” Kraków 1914 r.), dotyczący obszaru językowego litewskiego w wieku XVI. Wspominając o kościele w Ikaźni, fundowanym przez Jana Sapiehę ks. Fijałek przytacza na str. 309 wyjątek z dokumentu kanclerza Lwa Sapiehy, pomnażającego pierwotną fundację, a wydanego w r. 1596 w następującej redakcji: „To tylko waruję i podawców pomienionych obowiązuję, aby po śmierci terażniejszego plebana ikazieńskiego, także i po śmierci inszych plebanów, ilekroć ta plebanja warować i do dyspozycji przychodzić (by) miała, nie inakszego kapłana prezentowali, jedno któryby tam przy tych kościołach sam ustawicznie mieszkał i dla lepszego upatrzania porządku kościoła wikarie chował, i dla ćwiczenia dzieci mistrze i kantory mieć był powinien; także języka litewskiego, którego pospolicie tam ludzie prości nie umieją (sic!) albo sam

*) Zaznaczyć winniśmy dla ścisłości w tem miejscu, że nasza uwaga nie może być traktowana jako orzeczenie miarodajne. Ze sferami urzędowymi nie mamy bezpośredniej styczności i pogląd nasz nie jest oparty na jakichkolwiek danych faktycznych. Jest on tylko wyrazem rozpowszechnionej w społeczeństwie polskim opinji, niejednokrotnie zresztą wyrażanej na szpaltach organów, zarówno miejscowych, jak warszawskich. (Red.)

pleban był umiętny, albo też wikariego dla przepowiadania słowa Bożego i nauki ludzi prostych chował”.

Ks. dr. Fijałek zacytował powyższy ustęp z rękopisu Acta Dioec. Viln. w Bibl. Czartoryskich, nie uważając za potrzebne zastanowić się bliżej nad sprzecznością, jaka bije w oczy z przytoczonej klauzuli i poprzestając jedynie na podkreśleniu twierdzenia, że ludność w okolicach Ikaźni nie umiała już w w. XVI po litewsku. Dlaczegoż tedy kanclerz Sapieha w swym zapisie zamieścił warunek, aby pleban znał język litewski? Czyżby Sapieha pragnął tą drogą wpłynąć na lud, by powrócił do zapomnianej mowy swych przodków? Zważywszy na panujący wówczas powszechnie indyferentyzm narodowy przypuszczenie takie wydaje się mocno nieprawdopodobne i gdyby je przyjął, rzuciłoby to na postać znakomitego statysty i twórcy Statutu Litewskiego całkiem nowe światło, na co jednakże autor nie zwrócił uwagi.

Wogóle nad wszelkimi nasuwającymi się tu wątpliwościami ks. Fijałek przeszedł do porządku dziennego, zadawając się wykrzyknikiem *sic* w nawiasach i upoważniając niejako i innych historyków, zwłaszcza mniej krytycznych do powoływania się na zacytowany przez siebie ustęp z dokumentu, jako na dowód ewentualny niezwykle szybkiego zamierania języka litewskiego.

Szczęśliwym trafem jednakże zachował się w Archiwum Państwowem w Wilnie „Przywilej confirmationis fundacji kościołów Ikaźnieńskiego i Pohoskiego przez króla Zygmunta w r. 1596 wydany”, oblatowany w aktach ziemskich pow. brasławskiego w r. 1793 przez Zygmunta Łastowskiego, rotmistrza brasławskiego (karty 324—328 księgi Arch. Akt. Dawnych N 15421).

W przywileju tym znajdujemy dosłowny tekst zapisu kanclerza Sapiehy, o którym wspomina właśnie ks. Fijałek.

Oto jak bizmi ten zapis (w pisowni nowoczesnej):

„Leo Sapieha kanclerz W-o X. L-o Słonimski Retowski, Błudnienski etc. Starosta wyznawam i wiadomo czynię tym moim dobrowolnym listem i wieczystym zapisem wszem wobec i każdemu z osobna, komuby to wiedzieć należało, teraz i napotym będącym:

Iż dla rozmnożenia chwały Pana Boga Wszchemogącego, a dla pozyskania dusz ludzkich Krwią najdroższą Syna Bożego pozyskanych i odkupionych, w majątności mej Ikażeńskiej fundowałem kościoły: jeden w miasteczku Ikaźnie, a drugi w Pohoskie, do zamku mego Ikażeńskiego należących, by ustawicznie służba Boża odprawowała się, pewne dobra z teje majątności mej Ikażeńskiej i Pohoskiej na Plebanję nadałem i pewnym moim zapisem warując zapisałem. Z których to dóbr, przez mię na pomienione kościoły Ikażeński i Pohoski nadanych i fundowanych, iż pleban wikarjom przy tych kościołach dla pomocy dla ćwiczenia dziecinnych mistrzów i kantorów wychować nie może, czego ja po nim potrzebuję, aby tem z większą pilnością sam przez się i przez wikarje o zbawienie dusz ludzkich w tamtym kraju staranie czynił, ku gruntom, wsiom i dochodom, którym przedtym osobliwym zapisem na te kościoły fundował, według prawa pospolitego W-o X. L-o zapisałem, znowu z tychże majątności moich Ikażeńskiej i Pohoskiej na pomienione kościoły Ikażeński i Pohoski przydaje, wiecznemi czasy da-

ruję i zapisuję wieś Milewicz y włok dziewięć pustych i osiadłych, we włości Ikażeńskiej, wieś Szukielowicz y dawnej pomiary włok dwanaście pustych i osiadłych we włości Pohoskiej: Imienia mego własnego, z poddanymi i ich powinnościami, gruntami pustymi, lasy i zaroślami, tak jako się zdawna te wsi same w sobie mają, nic z nich nie wyjmując.

Do tego też przydaje i zapisuję wiecznie myto targowe w mieście Ikażeńskim, którego mnie na każdy rok arędą dawano kop siedm groszy litewskich; także przychód z karczem gorzałczanych w tem że miasteczku Ikażeńskim, które to pomienione wsi, także myto, i przychód gorzałczany, w moc i dzierżenie terazniejszemu Xiędzu Plebanowi Ikażeńskiemu, Xiędzu Stanisławowi Foderiuszowi *) i inszym plebanom Ikażeńskim po nim będącym cale i zupełnie na wieczność podaje, oddalając od tego sam siebie i potomki swe czasy wiecznemi, tak: iż ja ni potomek mój od tego czasu w pomienione wsi, w arędę mytną i gorzałczaną, w mieście Ikażeńskim wdać się, ani przeszkody Xiędzu Plebanowi Ikażeńskiemu w używaniu czynić nie będę mógł, ale Xiądz Pleban Ikażeński terazniejszy, i napotym po nim będący, jako gruntów ze wszelakimi pożytkami należnościami, także i poddanych na nich siedzących spokojnie według najlepszego upodobania swego używać ma, a bez wiadomości i pozwolenia Plebana Ikażeńskiego, jako targowego wybierać, tak i w mieście Ikażeńskim żaden poddany mój gorzałki szynkować nie będzie mógł; w czym ja ani potomek mój przeszkody żadnej w spokojnem używaniu czynić nie będzie mógł, i owszem od wszelakich krzywd bronić, i ochraniać.

A iż w pierwszym liście i zapisie moim, którym uczynił, fundując kościół Ikażeński i Pohoski, ius patronatus i podawanie plebana do pomienionych kościołów, któreby mi służyć mogło, oddalwszy od siebie i od potomków swych, wiecznemi czasy oddałem i zapisałem Kapitulie kościoła Świętego Stanisława w Wilnie, a przy nim Ojcom Jezuitom Collegium miasta Wileńskiego, tedy i te dobra przez terazniejszy list nowy pomienionym kościołom oddane, i zapisane pod tamto wyrzeczenie i oddalenie moje pierwsze dobrowolnie poddaje i opisuje, że ani ja ani potomek mój, żadnego prawa i ius patronatus do podawania plebana Ikażeńskiego z pomienionych dobr zażywać i sobie przywłaszczać nie może, tylko sama Kapituła z Ojcami Jezuitami, i którego oni kapłana do tych kościołów z władzy swej podadzą i prezentują, ten bez wszelakiej przeszkody plebanem tych kościołów będąc, pomienionych dobr przez mię na kościół nadanych i fundowanych, dobrowolnie zażywać wolen będzie.

To tylko waruję i podawców pomienionych obowiązuję, aby po śmierci terazniejszego Plebana Ikażeńskiego, także i po śmierci inszych plebanów, ilekroć ta Plebanija wakować i do dyspozycji przychodzić miała, nie inakszego kapłana prezentowali, jedno któryby tam przy tych kościołach sam ustawicznie mieszkał, i dla lepszego oraz porządku kościoła wikarje chował, i dla ćwiczenia dzieci, mistrze i kantory mieć był powinien, także języka litewskiego, którego pospolicie tam ludzie prości używoją, albo sam pleban był umiętny, albo też wikariego dla przepowiadania Słowa Bożego i nauki ludzi prostych chował.

*) U ks. Fijałka Jodeciuszowi.

Co ja wszystko przejrzeniu Pana Boga Wszchemogącego, a staraniu i pilności pomienionych Kapituły kościoła wilen. i Ojcom Jezuitom poruczam, i oddaję A dla lepszej wiary i pewności daję ten list mój z podpisem ręki mojej własnej i pod pieczęcią”.

A więc, jak widzimy z powyższego tekstu, niezrozumiały ustęp, przytoczony przez ks. Fijałka brzmi całkiem logicznie. Ponieważ ludność używa języka litewskiego, tedy jest niezbędny kapłan znający ten język. Skąd u ks. Fijałka zamiast wyrazu „używają”, wziął się wyraz „nie umieją” — tego oczywiście wyjaśnić nie podejmujemy się.

K. W.

Z mego notatnika.

Głowa... ze Słonima.

P. Władysław Jeśman, ziemianin pow. słonimskiego, b. poseł do Dumy a przez czas jakiś piastujący urząd wojewody (bodaj, na Polesiu), odznaczony w r. 1925 orderem „Polonia Restituta” niedawno odesłał odznaki orderu kapitule i zażądał wykreślenia go z pocztu kawalerów tego orderu.

Jaskrawa ta manifestacja z wielkiem uznaniem została przyjęta przez opinię endecką ze względu na motyw, którymi się kierował udekorowany malkontent decydując się na swój krok demonstracyjny.

Motywy te są tak charakterystyczne, że warto z niemi zapoznać się bliżej.

P. Jeśman zaznacza na wstępie, że został odznaczony orderem Odrodzenia Polski, jak tego dowodzi przemówienie wojewody nowogródzkiego Januszajtisa przy wręczeniu orderu, przez wzgląd na swą pracę „w kierunku utrzymania polskiego charakteru kraju i polskiego stanu posiadania”.

P. Jeśman odznaczenie to przyjął w przeświadczeniu, że będzie ono zachętą dla innych do wyęźnienia swych sił w celu ściślejszego zespolenia kresów z państwem polskim.

„W ostatnich jednak latach — pisze dalej p. Jeśman — zdarzają się wypadki, które wiarę moją w słuszność powyższego rozumowania zachwiały. Orderem „Polonia Restituta” są odznaczone osoby, których działalność idzie w kierunku wręcz przeciwnym temu, jaki nam kresowcom zdawał się odpowiadającym polskiej racji stanu i które dążą do odpolszczenia kraju”.

Do tych osób b. poseł do Dumy i b. wojewoda zalicza obecnego wojewodę nowogródzkiego Beczkowicza, który „stworzył w Nowogródku ośrodek propagandy białoruskiej” i starostę słonimskiego p. Henszla, który „także gorliwie popiera ruch białoruski”.

„Ponieważ język białoruski — czytamy dalej w piśmie p. Jeśmana — wskutek dłuższego pobytu Białorusinów w Rosji (?) stał się bardzo zbliżonym do rosyjskiego, więc popieranie ruchu białoruskiego prowadzi do rusyfikacji kraju, skąd wynika, że opieranie się jej Polaków kresowych i dążenie do utrzymania polskiego charakteru kraju były to szkodliwe błędy polityczne, które obecnie trzeba naprawić”...

W konkluzji p. Jeśman wyraża przypuszczenie, że został odznaczony wskutek jakiegoś nieporozumienia, zrzeka się więc orderu, nie chcąc korzystać z niezasłużonej nagrody.

Ktoś, kto nie zna p. Jeśmana nawet ze sły-

sznia, może z łatwością pomyśleć po przeczytaniu powyższej jego argumentacji, że jest to sprytny manewr przewrotnego i złośliwego polityka, który w celu zdyskredytowania rządów sanacyjnych w oczach usposobionej nacjonalistycznie opinii z całą perfidją wytyka im indyferentyzm, a nawet zaprzaństwo narodowe.

Ktoby jednak tak sądził, byłby w grubym błędzie. P. Jeśman wierzy szczerze w to, co pisze. Wierzy, że wojewoda Beczkowicz i starosta Henszel są zapalonymi białorusofilami, wierzy, że Białoruś jest krajem o polskim charakterze dzięki usiłowaniom rozmaitych „kresowców”, wierzy, że ruch narodowy białoruski prowadzi do rusyfikacji tego kraju, a nawet wierzy w to, że język białoruski stał się „zbliżonym do języka rosyjskiego” wskutek dłuższego pobytu Białorusinów w Rosji, które to twierdzenie istotnie można przyjąć tylko na w'arę, jako że logicznie uzasadnić się ono nie daje.

Bo pan ex-poseł i ex-wojewoda jest typowym endekiem „kresowym” dawnej daty, których przed wojną namnożyło się u nas bez liku i których naiwność i prostolinijność były zresztą wyzyskiwane przez warszawskich i lwowskich menerów obozu wszechpolskiego.

Obce i niezrozumiałe są dla tego zaśniedziałego szlachcica słonimskiego nowoczesne metody polityczne, niepojęte są wszelkie odchylenia od niezłożonych i dobitnych wskazań programowych, wpajanych swego czasu przez ks. Maciejewicza i Józefa Hłaskę, to też święcie jest przekonany, że rządy pomajowe, które stosują bardziej wyrafinowaną taktykę w sprawach narodowościowych, naprawdę dążą do zagłady polskości na „kresach”.

Stąd oburzenie i protest, mający wszelkie cechy skandalu.

A morał stąd płynie taki: nie należy tępych głów wybierać na posłów, tembardziej powierzać im stanowisk wojewodów, przedewszystkiem zaś nie należy umacniać w nich oficjalnie (przemówienie woj. Januszajtisa) przekonania, że order „Polonia Restituta” jest nagrodą za działalność w duchu endeckim...

Nie koniecznie bowiem głowa kiepska musi być z Witebska. Może być również ze Słonima.

Licz.

Nauka poszła w las.

Niejednokrotnie podkreślaliśmy, że na t. zw. problem litewski składają się trzy odrębne zagadnienia, które zwykle nie są rozróżniane i są traktowane *junctim*: inny charakter i znaczenie ma kwestja ustosunkowania się wzajemnego Polski i Litwy, inny znów kwestja stosunków polsko-litewskich na terytorjum Litwy historycznej, a jeszcze inny na obszarze Litwy etnograficznej, względnie w granicach istniejącego państwa litewskiego.

O ile pierwsza kwestja zostanie z łatwością rozwiązana z chwilą uregulowania zatargu terytorjalnego o Wilno, o ile druga jest ściśle uzależniona od rozwoju ruchu narodowego białoruskiego, a raczej od przyszłego ukształtowania się form państwowych na ziemiach W Ks. Litewskiego, o tyle trzecia może pozostać aktualną jeszcze długo, nawet w wypadku zgodnego rozgraniczenia terytorjalno-politycznego pomiędzy Polską, Litwą i Białorusią.

Oczywiście wszystkie te trzy zagadnienia pozostają w związku ze sobą i wywierają większy lub mniejszy wpływ na siebie, lecz zarówno geneza ich, jak perspektywy przyszłości są zgoła odmienne. Walka o Wilno niewątpliwie przyczynia się w znacznym stopniu do utrudnienia sytuacji mniejszości polskiej w Republice Litewskiej, ale gdyby nawet sprawa wileńska nie istniała, to stosunki polsko-litewskie, mimo to, dalekie byłyby od ideału zgodnego współżycia. Z jednej strony nie ustałby nacisk żywiołowej ekspansji odradzającej się narodowości litewskiej, z drugiej strony społeczeństwo polskie, złożone w przewaźnej mierze z elementów szlachecko-ziemiańskich nie potrafiłoby tak prędko zejść ze swego stanowiska rezerwy i odosobnienia, na którym trwa do dziś dnia od pierwszej chwili obudzenia się „Młodej Litwy”.

Głęboki rozdźwięk, jaki się zaznaczył odrazu pomiędzy powstającą inteligencją litewską a reprezentującą dotąd niepodzielnie życie kulturalno-społeczne Litwy spolszczoną warstwą ziemiańsko-szlachecką z biegiem czasu nie tylko nie osłabł, ale coraz bardziej potęgował się i rozlegał się przykrym zgrzytem przy każdej sposobności. To samo lekceważenie i niedocenywanie budzącego się uświadczenia narodowego w masach ludowych, jakie dziś widzimy w społeczeństwie polskim w stosunku do ruchu białoruskiego, cechowało je na przełomie wieku XIX i XX w stosunku do ruchu litewskiego. Z niepojętym zaślepieniem i uporem trzymało się ziemiaństwo polskie taktyki „wspaniałego odosobnienia” nawet wtedy, gdy rzeczywistość wykazywała niezbicie całą bezpodstawność panującego wszechwładnie przeświadczenia o nikłych wpływach inteligencji litewskiej w szerokich masach ludowych. Nie otworzyły oczu i nie zawróciły z błędnej drogi nawet takie jaskrawe fakty, jak całkowita porażka przy wyborach do pierwszej Dumy w Kowieńszczyźnie, gdy nie przeszedł ani jeden kandydat z listy ziemiańskiej.

A nie brakło już wówczas głosów krytycznych i przestróg pod adresem krótkowzrocznych polityków polskich, nie zdających sobie sprawy z ewolucji stosunków społecznych i narodowych.

Radykalna i szczerze krajowa „Gazeta Wileńska” trafnie oceniała rezultat wyborów i przepowiadała już wtedy zupełne bankructwo firmy „kraj — to my, szlachta — ziemianie”.

Warto też przypomnieć, jak się zapatrywały wówczas na wynik wyborów światłe jednostki zśród demokracji litewskiej.

Na szpaltach tejże „Gazety Wileńskiej” jeden z wybitnych działaczy litewskich tak charakteryzował przebieg wyborów w Kownie:

„Przeżyliśmy kilka dni, które odtąd będą wskazywały na przełom nie tyle w dziejach państwa, bo braliśmy udział w zapoczątkowaniu dosyć słabego i wątpliwej wartości życia konstytucyjnego, ile naszego społeczeństwa, które pierwszy raz stanęło oko w oko z przejawem realnej i już niewątpliwej siły demokracji rdzennie litewskiej. Nie będę opisywał szczegółów wyborów w Kownie, postaram się tylko uchwycić główne rysy stron, które wzięły udział w walce wyborczej i określić przyczynę tego, a nie innego wyniku walki.

Do walki stanęli: przedstawiciele klasy, która dotychczas przodowała w naszym życiu społecznym; wyborcy obywateli miejskich, z którymi u nas nie sympatyzowano z licznych powodów i nakoniec

przedstawiciele ludu, którego istnienia, jako czynnika samodzielnego, mającego decydująco zaważyć w dziejach naszego kraju i nadać mu odrębny typ, przez jakiś dziwny i skądinąd niezrozumiały daltynizm — przodująca klasa nie chciała zauważyć, Liczby walczących przez system oryginalnej inwencji biurokratycznej były podtasowane w ten sposób (35 — 16 — 39), że żadna klasa sama nie miała przewagi.

Historyczna przeszłość, jednakowe, z nielicznymi wyjątkami, pochodzenie, wspólne wyznanie, bezpośrednie sąsiedztwo, fachowa jednolitość pierwszej i ostatniej klas, trudniących się rolnictwem — wszystko kazało przypuszczać, że najnaturalniejszym będzie sojusz tych grup i że z urny wyborczej wspólnymi głosami wyjdą imiona, jeżeli nie przeważnie z pierwszej grupy, to przynajmniej w równej ilości z obu. Stało się inaczej, więc dlaczego?

Nie chcę i nie mam żadnej ochoty przekroczyć zasady „de mortuis ant bene ant nihil”, owszem postępując przy dźwiękach *de profundis* za grobem nieboszczyka nie mogę nie uczuć żalu i smutku, tem więcej, że choć to był mój przeciwnik, może przez resztki romantyzmu, które gdzieś w głębi mej duszy pozostały z dawnej przeszłości, nie byłem wolny od pewnej ku niemu sympatji.

Bo czyż mogę winić go za to, że przez przyrodzone mu krótkowidztwo przeoczył, jak lat temu 25, gdy rdzenna Litwa spała w tak ciężkim letargu, iż zdawała się już zmarłą i o mało co nie czuć jej było trupem, kilku nieznanym mu fantastów, rozproszonych ciężkimi warunkami życia nie już od morza do morza, ale od mórz do oceanów, powzięło śmieszna myśl zbudzić ją do nowego życia i w tym celu gdzieś tam w zapadłym, zagranicznym w pojęciu przodującej klasy, kącie — w rdzennie litewskiej Tylży — założyło pierwsze w litewskim języku z kierunkiem narodowym i demokratycznym piśmko, o którym jeden z jej szeregu, gdy mu je pokazano, odezwał się, jak mu się zdawało bardzo dowcipnie, że całą waszą literaturę można nosić w bocznej kieszeni... Cóż naprawdę on winien, iż niezrozumiał, że idea narodowa i demokratyczna nie musi być rozmazana w foljantach, żeby przyniknąć do duszy chłopca litewskiego, a że na odwrót, jak kropla bajecznego eliksiru może wywołać pożądany efekt kilku kartkami! A tu jeszcze usłużne kumoszki i kramarskie piśmidła temu wielkiemu panu, który nie mógł siebie poniżyć, ażeby się zbliżyć do chłopca i poznać w nim człowieka, insynuowały bezustanku, że litewski demokrat to człowiek bez czci i wiary, który mać jagnięcą duszyczkę naszego poczciwego chłopka, bo ten ma wszystko, czego tylko jego prosta dusza zapragnie i uważa siebie za najszczęśliwszą istotę, gdy czuje nad sobą życzliwą opiekę swych panów.

Cóż on mógł pojąć, gdy w pamiętne nam dni listopadowe roku zeszłego zbudzony do życia kilkotysięczny tłum naszego ludu, zwołany do Wilna stanął w sali miejskiej i zawołał w swym pogańskim języku: „jestem!”?

I oto nadchodzi historyczny moment 26 marca, gdy dwaj naturalni niby sprzymierzeńcy powołani zostali do zdania egzaminu ze zdolności do nowego życia politycznego. Konstatuję fakt, że ten z nich, który był silniejszy, pierwszy najszczerzej zaproponował układ, mocą którego przodująca klasa wprawdzie byłaby zmuszoną do pozbycia się przestarzałych nieuzasadnionych pretensyj do przodownictwa,

lecz mogłaby wziąć w dalszym naszym pożyciu udział na równych z nami prawach. Lecz niestety, domniemany nasz sprzymierzeniec ujawnił, że jest tylko próchnem i pozostał daleko za biegiem życia, więc został wyrzucony za nawias”...

Nie czuć jeszcze w powyższych słowach nienawiści do Polaków, która następnie coraz bardziej zaczęła opanowywać serca patriotów litewskich, przebija tu tylko gorzka i zniechęcenie — najzupełniej zresztą usprawiedliwione, gdyż egoistyczna, wyniosła postawa ziemiaństwa polskiego nie zasługiwała na żadną pobłażliwość, ale konserwatyzm szlachty kowieńskiej pozostał niewzruszony.

Przebrzmiały bez echa nawoływania „Gazety Wileńskiej” która pisała: „Niechże ta klęska nie przeminie bez śladu, niech ziemiaństwo nasze zrozumie nareszcie, że chcąc żyć politycznie, winno się zdemokratyzować, wnikać w potrzeby ludu i słuszne dążenia jego popierać. Winniśmy uznać, że dążenia Litwinów do odrodzenia narodowego, ekonomicznego są ze wszechmiar usprawiedliwione i na czele tego ruchu sami stanąć musimy...”

Nauka poszła w las: i przy następnych wyborach i podczas wojny i przy organizacji państwowości litewskiej społeczeństwo polskie w Kowieńszczyźnie zajmowało stale pozycję odosobnioną, nie chcąc a może nie umiając się przystosować do zmienionych warunków, żywiąc względem *narodowych aspiracji* litewskich w najlepszym razie obojętność, a nieraz nawet zachowując się z wyraźną nieżyczliwością.

Zapominają o tem zwykle publicyści i politycy polscy notując skrętnie każdy najdrobniejszy objaw ucisku polskości w Republice Litewskiej. cz.

Bezideowa walka.

Namiętna kłótnia między obozem sanacyjnym a opozycyjnym — jak trafnie notuje „Nasz Przegląd” — ma ten wspólny rys charakterystyczny, że społeczeństwo nie bierze w niej żadnego udziału, obserwując ten spór tylko jako bezideową walkę dwóch klik. Pomimo bowiem pozornych różnic, oba skłócone obozy są do siebie bliźniaczo podobne: nie mają programu. Gdy przed przewrotem majowym piłsudczycy raz dyskretnie, raz jawnie zapowiadali „rewolucję”, nie wiadomo było, co po niej nastąpi. Obecnie nie wiemy, co będzie nazajutrz po zapowiedzianej przez opozycję „kontrewolucji”. Polemiki zaś między temi obozami sprawiają wrażenie rozmowy dwóch głuchych, w której jeden nie słyszy drugiego i odpowiada zupełnie co innego niż na to, o co rozmówca pyta.

Z niezliczonych artykułów, jakimi codziennie bombardują siebie organy prorządowe i opozycyjne widać, że jeden nie wie, o co idzie drugiemu, a wszyscy razem, o co chodzi szerszemu ogółowi obywateli.

Opozycja chętnie się, że dąży do „legalności”, ale wszak społeczeństwo nie dba o formalną legalność, lecz o istotną praworządność, a raczej o dobre rządy. Na mocy formalnej legalności większość parlamentu może uchwalić, by mniejszość usmażyć na patelni i pożyć. Taką — figuralnie mówiąc — legalnością były dawne rządy Chjeno-Piastowskie, wraz z ich „parlamentaryzmem” i „konstytucjona-

lizmem”. Nie dziwota, że nikt o taką „legalność” się nie troszczył. Co najważniejsza, nie szanowali jej sami jej sprawcy i realizatorzy. Prawica jawnie propagowała faszyzm, uważając snąc, że i te pozory legalności przeszkadzają jej w jej apetytach kani-balskich. Lewica zaś nic nie mówiła wprawdzie, ale po cichu także dążyła do przewrotu. Okazało się, że przewrotu „antylegalnościowego” dokonali ci, co najmniej o nim mówili — piłsudczycy przy wydatnym udziale lewicy wogóle, a PPS. w szczególności.

Jakże tedy śmiesznym jest, gdy na pytanie, „czem pragniecie zastąpić teraźniejszą dyktaturę, ukrytą”, panowie z centrolewu odpowiadają: „pragniemy zastąpić zachodnio-europejskimi formami życia i walki”. Jeżeli tylko te formy mają być objawem demokratyzmu, to demokratyzm ten przypomina anegdotkę, która opowiada jak chłop je śledzia: wyjąwszy z beczki śledzia pokrytego warstwą soli, chłop podstawia go pod studnię, aby potem znowu posypać solą. Formy życia i walki podobne do zachodnich istniały właśnie przed majem, ale formy te lewica zmyła, podstawiając je pod studnię rewolucji majowej — czy po to, aby państwo nanowo posypać tą słoną formą? Kto tedy pragnie wskrzesić dawną formę, musi powiedzieć, jaką włoży w nią nową treść. Tymczasem na punkcie treści „Robotnik” naiwnie wyznaje:

— Istotnie, różnice w pojmowaniu przeróżnych zagadnień życia polskiego są bardzo głębokie nieraz wewnątrz obozu opozycyjnego, z postawieniem nawet na uboczu narodowej demokracji i grup mniejszości narodowych.

Co wtedy warta jest taka opozycja, która sama ogłasza swe bankructwo pod względem zdolności do czynu?

Jeżeli pismo powołuje się na formy zachodnie, to trzeba nadmienić, że właśnie tam społeczeństwo nie odda władzy w ręce takiej opozycji, która składa się z żywiołów solidarnych tylko na polu negacji. Na zachodzie taka opozycja wogóle ze sobą się nie łączy, aby się nie ośmieszyć, bo jej zespolenie byłoby najlepszym argumentem za dyktaturą, gdyby nawet dyktatury jeszcze nie było. Tymczasem w Polsce tak różnobarwna opozycja chce, aby ją społeczeństwo brało na serjo, chociaż nie ulega wątpliwości, że po ewentualnym zwycięstwie pokłóci się ona między sobą i nie potrafi nawet technicznie utworzyć wspólnego rządu.

Dlatego to właśnie szeroki ogół z taką obojętnością przygląda się heroicznym zapasom pomiędzy tymi, którzy rządzą, a tymi, którzy rządzą i pragną znów pochwytać władzę w swe ręce. Nie wywołują one żadnego podniecenia ani większego zainteresowania nawet.

Aboje raboje — oto co w głębi duszy myśli przeciętny obywatel, zwłaszcza w naszym kraju.

R.

Z powodu okoliczności nieprzewidzianych numer niniejszy wychodzi ze znacznym opóźnieniem. Większa część materiału była złożona już przed Świętami, wskutek czego niektóre artykuły utraciły nieco swą aktualność, niektóre zaś tematy nie mogły już być wyzyskane, aby nie opóźnić numeru jeszcze bardziej. Za wszystkie te usterki najmocniej przepraszamy naszych czytelników.

